ROK PIĄTY.

—

№ 35.

WARSZAWA

d 14 (26 sierpnia)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

13ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Tego, co dajem na żywność ubogich, na uleczenie chorych i na uczynki miłosierne, nigdy nie ubywa, ale się przymnaża. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Wędrówka po kraju.

I.

Danać moja! dana, dana!
Choć ja chłopek w chłopskiej szacie,
Jestem furman i z furmana,
A człek łebski, wszak przyznacie?
Grabowy mam wózek cały,
I w nim wrone dwa koniki,
W biegu lotne, gdyby strzały,
Nie sprosta im jeleń dziki.
Gdy się w drogę wyszykuję,
Dół, czy góra, nic nie pytam:
Konie pędzą, wóz wiruje,
Ledwie piersią wiatry chwytam.

Tak śpiewał Korwic chłopek ze wsi Policzko w Opoczyńskiem przed okrążającą go gromadą.

Korwic chłopek to wesoły, rzeski, krępy; włosy ciemne, środkiem głowy rozdzielone, oko modre, duże, lśniące pogodą duszy, tak, że pomimo lat 40 w nieustannej pracy na roli i ciągłego furmanienia po świecie, jest jeszcze w całej sile życia i wygląda młodo, czerstwo i zdrowo. Gromada wsi Policzko pokòchała go jak brata, i rozpowiada o nim rozmaite przygody, że to człek, co był na wozie i pod wozem, przepływał jako retman przed flisami na czółenku hybkiem jak jaskółka, już po tysiąc razy Wisłę od Krakowa aż do Gdańska, to z drzewem, to ze zbożem, z jajkami, to z jabłkami; głosili że był na morzu i za morzem, przeszedł wszerz i wzdłuż całe polskie ziemie, przebywał między ludem i między obcymi; więc też było i o czem z nim pogwarzyć.

Od lat ośmiu Korwic osiedlił się we wsi Policzko, i za grosz ciężko zapracowany nabył kolonijkę, gospodarując na niej uczciwie, a ożeniwszy się z Marychną córką sąsiada, stał się już bratem serdecznym całej gromady, ojcem dwóch synów i najzamożniejszym w dobytku.

Jednak wynajmowania się w drogę swemi

końmi, które skwapliwie pielęgnował i wózkiem, co go sam sobie wyrobił, a kowal mu tylko okuł, gdy się nadarzyło, nie odmawiał.

Drukowane i pisane Korwic czytał bardzo dobrze, ucząc się początkowo, jak głosił u organisty, a potem u księdza.

Nazywali go wszyscy *furmanem zpod Krakowa*, bo jak szmigał tęgo końmi, choć nieraz czwórką a tylko o jednej lejcy, tak samo i w głowie myśli lotem mu szmigały. Wiedział dużo, pamiętał wiele i gdy w jakie święto kobiety, dziewczęta, chłopcy lub gospodarze otaczając go jakby swego ojca, wołali: Korwicu, furman'e z Zielonek, zaśpiewajta nam co; albo zagadajta, to w to mu graj; wnet Korwic ująwszy się pod boki, śpiewał z fantazyą:

Jestem dziarski, śmiały,
W mej sukmanie białej:
Kaftan modry ściska biodry
Z pasikiem w kółeczka,
I czerwona, w bok skręcona
Na głowie czapeczka;
Bóciki juchtowe,
Podkówki stalowe.
Kiej ochotnie człek w nie grzmotnie,
Ludziom się umizga,
Wara z bliska, jak z ogniska
Skry z podkówek bryzga!

I zaczął opowiadać cuda o miejscu, kędy się urodził, jak to tam wszystko inaczej, jak tam piękniej,

Tam wyniosłe góry
Pną się poza chmury,
Jakby ziemia cała
Z niebem się bratała;
Tam rzeźwiejsza woda,
Wonniejsza przyroda,
Słońce świeci żywiej,
Kochają prawdziwiej.

A kiedy zaczęli wołać: Korwicu, Korwicu! przechwalata wszystko, jakby tylko tam ładnie było, a u nas to nie, a przecieżeście wy nasz brat i my was kochamy; natenczas Korwic łagodząc Opocznian, mówił do nich z uśmiechem:

Jest niecnotą, jest niewiarą,
Toć przyznacie pewno sami,
Gdy kto własne gniazdo plami;
Temu śmierć jest małą karą.

Kochać z serca jest potrzebą
Swoje ziemie, swoje wody,
Zwierza, zboża, lud z urody,
Kwiaty, lasy, ptastwo, niebo!

Otóż powiem wam prawdę: czuję, że żarty zwyczajne młodości, już mię dzisiaj całkiem odstąpiły. Wszak to 40 lat już przeszło osiadło mi jak skała na barkach, boć lata płyną niby woda, ani ich wrócić, ani ich zatrzymać. Czas przestać gonić po świecie wiatry; 20 lat blisko stérało się na rozmaitej i w różnych miejscach wędrówce. Lepiej zatem i pożyteczniej będzie, jak wam rozpowiadać zacznę o naszej ziemi, o naszym ludzie, to jest naszych braciach.

— Chwacko, chwacko Korwicu, gadajta, ino pięknie, a będziemy was słuchać, zawołali wszyscy, churmem cisnąc się do niego.

—Dobrze moi bracia, co niedziela wieczorem zbierajta się do mnie, ja będę gwarzył... a dzisiaj zacznę trochę o sobie, i o czemś więcej, a Bóg mi dopomoże, że się to będzie wywijać jak z kłębka.

— Zgoda, krzyknęli, co wieczór w niedziele jesteśmy u was, a dzisiaj słuchamy.

Korwic więc tak zaczął:

Kiedym chodził ze wsi Zielonek do wsi Modlnicy: (dlatego ta wieś Modlnicą się nazywa, że w niej jest kościół na tem samem miejscu, gdzie święty Wojciech modlił się z ludem, gdy szedł nauczać wiary do Prus), był tam organista. Do niego ojcowie mnie zaprowadzili na naukę, u niego nauczyłem się czytać i pisać dość prędko; co widząc tameczny ksiądz proboszcz, wziął mnie do służenia przy mszy świętej. I upodobawszy mnie, żem był do wszystkiego wartki i usłużny, dawał mi śliczne książki do czytania, a miał ich ze cztery szafy, jakby serów na pułkach. Kiedym się jął do czytania i to chciwie, ksiądz dostrzegłszy to, zapytał mnie raz ciekawie: czy to rozumiesz paupierze, co czytasz? Ja odpowiedziałem księdzu wręcz, że nietylko rozumiem wszystko, ale i na pamięć umiem prawie całą książkę, o zwyczajach, o pracy naszego ludu, i zacząłem mu z końca do końca prawić jakby katechizm, że aż się ksiądz serdecznie nademną rozpłakał.

Zapragnął mnie dalej posyłać do szkół i to swoim kosztem, ale ja zatęskniłem do ro-

li, do jeżdżenia końmi, do swej ojcowizny, i wróciwszy do Zielonek, pracowałem w polu, przepływałem Wisłę, lub jeździłem gdzie wypadało,

Powróciłem więc na rolę,
Z chęcią jakby syn do matki,
Boć mą rolę więcej wolę,
Niźli pańskie tam dostatki.
Rola to jest chłopka życie,
Szczęściem, gdy ma chatkę własną,
W niej pracuje należycie
Z głową trzeźwą, z myślą jasną.
Ale który z nas polubi
Czy to karczmę, czy mitręgę,
Serce, duszę całkiem zgubi,
Wyjdzie z człeka na włóczęgę.

—Oj! prawda! prawda, Korwicu, zawołała gromada. I tak rozmawiali; a że już długo gawęda się przeciągnęła, skończył więc na tem opowiadanie furman, obiecując kiedyś znowu powieść swą dokończyć.

Dwie wioski.

(z prawdziwego zdarzenia).

I.

Dawne to czasy, kiedy wieś Wola z Wulką niedaleko Kalisza, stanowiły jedno dziedzictwo. Wtedy to łączyły te dwie wioski ścisłe pokrewieństwa, przez częste małżeństwa. W Wulce słynęły dziewoje z piękności, jak w Woli parobczaki z dziarskiej czerstwości i ochoty czy do bójki czy do tańca. Kiedy bywało który z Woli wpadnie do karczmy w Wulce, gdzie co święto i niedziela brzmiały skrzypki i basy, jak huknie śpiewkę jaką na progu, stojąc z czapą nabakier, to aż brzękną szyby w oknach, a dziewoje wszystkie zaraz oczy na niego, a każda się śmieje i podryguje jakby na wabika, żeby ją wziął w taniec.

Szumno wchodzi na środek izby, sypnie grosiwa muzykantom, starszej gromadzie czapką pokłoni się do kolan i wybiera sobie dziewoję. Wtedy było patrzeć, jak rzuciwszy żupan, w samej kamizeli zawinie koło, potem na odsiebkę, a jak utnie hołubca, to aż trzaski lecą z podłogi.

Dziewczyna ledwie dyszy ze zmęczenia, a on i z drugą i z trzecią tak wywija, a ludek patrzy, śmieje się, klaszcze i pokrzykiem dodaje ochoty parobkowi dzielnemu.

I to jeden w drugiego chłopy smukłe jak sosny, krzepkie jak dęby, by dusić niedźwiedzie w tej Woli rodzili się; a niech no trąbka zabrzmiała, albo bęben marsz uderzył, to wszystko dygotało do wojenki i potem było smutno, pusto i w Woli i w Wulce.

W opustoszałej *Woli* dumali starcy i matki o swoich synach, co daleko powędrowali, dziewoje w Wulce zasępione skrycie płakiwały, bo niejedna narzeczonego daremnie oczekiwała. Po kilku latach dwie te wioski nagle stały się dla siebie prawie obcemi: pas graniczny przedzielił je nadługo. Wola przydzieloną została do Prus, Wulka została nad granicą w Polsce.

Starcy w podaniu wnuków już tylko opowiadali, jak to dawniej razem oba sioła z sobą żyły, jaka to ochota i wesołość ożywiała młodzież całą. Niedziwota, oni młodą pamięcią orzeźwiali sędziwe lata swoje.

Tak upłynęło niemało lat; owi starcy pomarli i spoczęli na cmentarzyku wiejskim, co go ocieniało kilka smutnych sosen i dąb rozłożysty, młode pokolenie zapomniało dawnych podań, a mimo to chwackie zawsze parobczaki, ochoczo, chociaż na chwilkę wpadali do Wulki, by wytańczyć się z krasnemi dziewojami. Wiele zabierało ztąd do *Woli* za granicę żony sobie, bo prócz piękności, słynęły z gospodarności i cnoty. To też w *Wulce* aby dziewucha podlotek doszła lat 15 lub 16, oho! już swaty, i zaraz wesele. Mówiono też, że w tej wiosce zobaczy tylko albo dylągów parobków, albo małe dziewczęta.

Jakoż dziwnem zrządzeniem Opatrzności, jak tu rodziły się piękne i składne dziewoje, to znowu za to parobczaki mniej urodne i niemrawe; pracowite to było, ale jakoś ani do tańca ani do różańca. Cały boży tydzień pracuje jak wół, a w niedziele czy święto śpi w stodole, albo pod cieniem drzewa spoczywa, i najskoczniejsza muzyka nie poruszy go z miejsca.

Było to w roku 1834.

U starego Bartłomieja Gila, najzamożniej-

szego kmiecia w Wulce, na święta wielkanocne suto zastawiono święcone. Syn jego Józwa, chłopak już dwudziestoletni, siedział przy kominie i wygrzewał przy ognisku ręce, bo jako zimno było na dworze i śnieg z gradem przypruszał. Drugi młodszy Maciej i siostra siedzieli na ławie, wróciwszy ze mszy porannej.

Bartłomiej czekał na sąsiadów, aby się jajkiem święconem podzielić. Jakoż niedługo przybyło kilku z żonami i dziatwą, a między tymi za bogatego miany Szymon Socha z niewiastą swoją i jedynaczką czternastoletnią Kasią. Słynęła ona z piękności, przytem gospodarna i pobożna, już zwracała oczy na siebie wszystkich parobczaków nietylko miejscowych, ale z dalekich nawet okolic.

Po obdzieleniu się jajkiem święconem i powinszowaniach wzajemnych, czarka gęsto przechodziła z rąk do rąk. Bartłomiej siedząc przy Szymonie, niedługo odezwał się w te słowa:

— Mój kmotrze! żyjewa z sobą już lat niemało, role nasze tylko miedza dzieli. Ot! wieta co, pożeńmy nasze dziatwę: Józwa już umie gospodarzyć, a twoja Kachna, to choć to jeszcze młode, ale wyrasta składnie na niewiastkę i gosposię.

— Baj baju, będziesz w raju, odrzekł z uśmiechem Szymon, a żona jego przemówiła:

— To jeszcze za młode, jeszcze nie dojrzała, czas na to ma jeszcze.

A ładna Kasia dosłyszawszy, co mówił Bartłomiej, zbladła jak chusta, i schwytała się rękoma za piersi, jakby ją coś udławiło.

Wróciwszy do domu, całą noc skrycie przepłakała.

Wdrugi dzień wielkanocy po rannym *szmigusie*, Kasia nie wychodziła wcale z chaty, wreszcie po obiedzie usłyszała muzykę w pobliskiej karczmie. Zadygotało w niej serce, a gdy matka zawołała:

— Kachna! słonko jakoś świeci ładnie, przejdziewa po wsi, a może i na muzykę wstąpimy, zerwała się hyżo, ogarnęła i spiesznie podążyła za matką do karczmy.

Wrzała tam ochota niezwykła. Kasia przecie rzuciwszy oczyma po izbie, nie dzieliła powszechnej radości, i cicho w kąciku usiadłszy, smutnie opuściła główkę na piersi.

W godzinę później drzwi się nagle z trzaskiem narozcież otwarły i stanął w nich ze wsi *Woli*, a jak teraz mówiono z *zagranicy* Piotr Jodłak, syn bogatego czynszownika, bo tam już od lat wielu nie znano pańszczyzny.

Kiedy stanął na progu w granatowym żupanie, kamizeli wyszywanej, i kapeluszu z pawim piórkiem nabakier, trzymając się lewą ręką za pas czerwieniasty, a prawą pokręcając z fantazją gęstego wąsa, cała gromada ze wsi bawiąca w karczmie jednym powitała go okrzykiem. Kasia wtedy podniosła główkę, a ujrzawszy Piotrka, spiekła tak potężnego raka, że czując jak krew bije do lica, fartuszkiem oczy zasłoniła.

Jodłak kapeluszem starszyznie do kolan skłonił, uśmiechnął się do dziewcząt, ale stał na środku, jakby czegóś szukał oczyma. Niedługo spojrzenie jego padło na Kasię: spotkały się wzajemnie ich oczy. Jodłak tak się uśmiechnął, jakby po burzy słonko ujrzał, a dziewuszka skraśniała, by wiśnia.

Skrzypek urznął od ucha serdecznego *wyrwasa*, Piotrek kapelusz przechylił więcej na bakier, a wychyliwszy półkwaterek wódki, klaszcząc w dłonie i podrygując, sunął prosto do Kasi, która stała już uśmiechnięta i jakby załzawiona z radości, bo jej czarne oczy zajaśniały jak robaczki świętojańskie: w każdem kropla łezki błyszczała.

Para tak urodziwa i dobrana ruszyła na czele innych tancerzy. Stara Sochowa patrząc na córkę i Piotra, klaskała w ręce z radości, i myślała w duchu: to jakby zrodzeni dla siebie! Taniec z przerwami trwał do północka; w chwilach spoczynku Jodłak trzymał Kasię za rączkę drobną i kształtną choć spracowaną, a coś szeptał do ucha miłego, bo dziewczę, jakby zapomniało o całym świecie, uśmiechnięte, rozrzewnione, wlepiało często wymowne spojrzenie w dorodne oblicze Piotra. I tak w rozmowie i wpatrywaniu się utonęła, że z tego zachwytu obudziły ją dopiero słowa matki, która kładąc rękę na jej ramieniu, wyrzekła:

— Kachna! czas nam doma, już słyszysz pierwsze kury?

Zerwało się dziewczę na nogi, smutek zachmurzył jej rozpłonione lica, Piotr westchnął i osmutniał.

Niedługo zebrana drużyna opuściła karczmę, każdy śpieszył do domu na krótki spoczynek, bo wschód słońca już wzywał do pracy.

II.

Czas szybko płynie, — nastała gruba jesień. Bartłomiej Gil częściej nawiedza chatę Sochów, i z Szymonem ciche narady odbywa. Kasia coś dosłyszała smutnego dla siebie, bo gdy obaj ojcowie podawali sobie ręce na znak zgody, lekko krzyknęła w komorze, zaniosła się od płaczu, a padając krzyżem przed obrazem Matki-Boskiej Częstochowskiej, przed którą ciągle paliła się lampka, w gorącej modlitwie szukała ulgi i pociechy.

Matka płakała cicho, siedząc w kącie komory na skrzyni malowanej, widziała rozpacz jedynaczki, rozumiała jej boleść, ale mężowi nie śmiała mówić.

Niedługo stary Szymon przywołał żonę i córkę i oświadczył w obecności Bartłomieja, że już dał mu słowo, i że Kasia pójdzie za jego syna Józwę, a ślub w zapusty.

W milczeniu jakby skamieniała, wysłuchała wyroku biedna dziewczyna. Odtąd noce jej były bezsenne, a łzy jej tylko Bóg widział.

Swaty wedle zwyczaju przybyli następnie, a w dniu oznaczonym przez ojców odbył się ślub i wesele.

Kiedy posadzono pannę młodą na dzieży, a rozplatając jej warkocz, drużki smutną piosenkę zawiodły, jakiś jeździec pokazał się na uhasanym koniu, uwiązał go do płotu, a sam chyłkiem podsunął się pod okno chaty, gdzie brzmiały radosne okrzyki i huczna kapela.

Oświecona była izba i świecami i płomieniem z komina. Kasia rzewnie płakała, siedząc na dzieży. Nasz przybyły popatrzył małą chwilę, otarł łzy rękawem, opuścił smutnie głowę na piersi i odszedł, a dosiadłszy podjezdka, ruszył galopem ku granicy pruskiej, jakby uciekał od tej wrzawy ochoczej drużyny.

Później mówiono, że matka Kasi stojąc wówczas w sieni, poznała w nim Jodłaka.

Niewiasty w *Wulce* zazdrościły losu Kasi. Szczęśliwa teraz (mówiły), ma za męża dobrego gospodarza, chłop nie ułomek, nie leniwy do pracy, a chleba też wbród. Nic im nie brakuje, jeno ptasiego mleka.

Stary Szymon w rok później, kiedy pytał, czemu ciągle córka smutna i wygląda jakby z krzyża zdjęta, dowiedział się od żony z podziwieniem, że nie dał jej szczęścia i zatruł dolę na całe życie.

Nic nie odrzekł, ale wielce posmutniał; a gdy raz w święto siedział przed chatą na kłodzie dębowej i fajkę palił, a żona na progu stojąc, wzdychała i często łzy ocierała fartuchem, przemówił:

— Bóg widzi, że pragnąłem jeno szczęścia naszej dziewuchy, ale wy wszystko trzymaliśta w sekrecie, otóż macie... biedna Kasia!

Ledwie tych słów domówił, gdy nadbiegł zdyszany Bartłomiej: był blady, łzy mu płynęły po zoranym od marszczek licu.

— Co wam takiego kmotrze, pyta Szymon, zerwawszy się na nogi.

Ale Bartłomiej nie mógł się utrzymać na nogach, zatoczył się, aż go podtrzymali oboje Szymonowie i wprowadzili do chaty. Tu dopiero dowiedzieli się przerażeni, że Józwę wzięto w nocy do wojska i wywieziono już ze wsi.

Szymonowa co rychlej pobiegła do córki; zastała ją siedzącą w osłupieniu przy kominie, bladą i zapłakaną.

Starania obu gospodarzy o uwolnienie Józwy były daremne; dobrego wzrostu, silny czerstwy, nie miał żadnej obrony.

Katarzyna w modlitwie znalazła ulgę i spokój. Opuściła chatę męża i przeniosła się do swoich rodziców.

W *Woli* Piotr Jodłak po dwóch latach ożenił się z nieurodną, ale dobrą i pracowitą dziewczyną z tejże wsi samej. Jak był kiedyś do zabawy i tańca ochoczy, tak teraz zabrał się pilnie do gospodarki po śmierci swoich rodzicow. Niedługo cieszył się spokojem życia domowego; przywiązaną do siebie żonę po czterech latach utracił, został sam i bezdzietny. Wiedział o nieszczęśliwej doli ukochanej zawsze Katarzyny, ale ani słowa nigdy nie wspominał o niej.

Po dziesięciu latach stary Bartłomiej otrzymał wiadomość o śmierci syna: poległ na wojnie. Szymon starał się o dowód jego zgonu i otrzymał go niedługo. Tak córka jego jako wdowa, była wolną w 26 roku życia swego.

Wieść o śmierci Józwy Gila prędko dobiegła uszu Jodłaka. Gospodarz Wulki krewniak Sochy, a przyjaciel jego, pierwszy mu jej udzielił. Pokiwał głową, ale odetchnął tak swobodnie, jakby mu spadł kamień z piersi. W smutku i samotności orzeźwiał jakoś, i w parę miesięcy wybrał się do Wulki.

Młoda wdowa, nic ze swej tęsknoty nie utraciła, wdzięki jej nabrały większego jeszcze uroku: czarne oko rzucało blask mocniejszy zpod brwi czarnej, na licach białych wykwitał śliczny rumieniec.

Nie kochając Józwy, popłakała trochę, pomodliła się za jego duszę, ale równie swobodnie odetchnęła całą piersią jak Piotr, któremu duszę oddawna oddała.

Była właśnie niedziela, i już poobiednia godzina. W małym ogródku stary Socha odpoczywał pod cieniem starej gruszy. Katarzyna z matką siedząc w pobliżu na zielonej murawie, rozmawiały o przygodach biednego Józwy, gdy zatętniało podwórze i na rzeźwym gniadoszu ukazał się Jodłak. Socha uśmiechnął się radośnie, matka dojrzawszy jeźdźca, spojrzała na córkę, która lekki krzyk zadziwienia wydała i skraśniała by wiśnia.

Piotr dojrzał całą rodzinę w ogródku, otworzył małe wrotka, a przywiązawszy gniadosza do płota, z bijącem sercem zbliżył się, pokłonił starym czapką, a Kasi podał rękę i uścisnął.

— No! siadajcie sąsiedzie, rzekł Socha, jakże tam u was w Woli?

— Postaremu, nic dobrego,

—Rozgośćcie się panie Piotrze, przemówiła nieśmiało Kasia, konia wezmą do obórki, a ja mu dam siana i podsypię owsa.

Jodłak rozweselony przyjęciem tak uprzejmem, bawił do północka. Już pierwsze kury piały, kiedy opuszczał chatę Sochy.

Odtąd co święto, co niedziela odwiedzał Wulkę; stare we wsi kumoszki kiwały głowami i mówiły między sobą:

Co Bóg połączy, człowiek nie rozłączy. Ot! wydali Kasię za nieluba Józwę, a taki w zapusty pewnikiem pójdzie za Jodłaka.

Przepowiednie te ziściły się, bo w zapusty proboszcz miejscowy pobłogosławił téj dorodnej parze. Po trzech dniach sutego wesela w chacie Sochów, Jodłak zabrał żonę na swoje gospodarstwo czynszowe i wywiózł *zagranicę*.

Niedaremnie na wysokim dębie przy domu Jodłaka gnieździły się bociany, dawniej u nas brane za godło szczęścia i pomyślnej doli. Bo od chwili, gdy stara kuma przyjęła na progu chlebem i solą Katarzynę z Piotrem, jakby anioł zażegnał, doznawali prawdziwego szczęścia i radości. Piotr jedynak po śmierci rodziców objął osadę czynszową z włóki gruntu, zabudowaną starannie, z dostatnim inwentarzem, a nie brakło i gotówki. Trzysta z górą talarów rodzic mu umierając, doręczył. Przez pracę i gospodarność nic nie utracił z tego, ale przymnożył rok rocznie. Teraz nie pożałował grosza, byleby tylko radował ukochaną Katarzynę. Przeszła zima, wiosna i lato, w pierwszej połowie października Jodłak sute wyprawiał chrzciny: urodził mu się syn, któremu dał imie dziada Szymona. Starzec z żoną płakali, witając dorodnego i czerstwego wnuczka. Z Woli zaproszonych było kilku sąsiadów, a z Wulki cała prawie wieś przybyła, Nie odmówili i oboje Gilowie. Wesoła ochota trwała przez noc całą.

Kiedy Wulka prawie opustoszała, bo wszystko wyległo na chrzciny małego Jodłaka, wysadzaną drogą wierzbami do wsi postępował jakiś wędrownik z torbą na plecach, w starym wyszarzanym żołnierskim płaszczu, wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, ale widać słaby, zmęczony i kulejący na nogę, dla czego podpierał się grubym sękatym kijem. Pod figurą, na któréj była cała Męka Pańska, stanął chwilę, uchylił nieco furażerki, i szedł dalej ścieszką prosto wiodącą do chaty Gilów. Snać, że znał dobrze tę drogę.

Przed chatą siedział parobek właśnie starego Gila, paląc fajkę, gdy wędrownik nie powitawszy go zwykłém pozdrowieniem, zapytał surowo:

— A czy są starzy gospodarze?

Parobczak spojrzał niechętnie na rosłego jakby żebraka, i odrzekł: niema.

— A gdzie poszli? pytał znowu, siadając na ławie pod okapem chaty.

— Poszli na chrzciny do Jodłaków.

— To Piotrek się ożenili, a z kimże to? powiedzta.

— A! z kim się mieli żenić, jużci z wdową po Józwie Gilu, z wdową Katarzyną.

Wędrownik spojrzał na parobczaka obłę-

dnym wzrokiem, kij wypuścił z ręki, zbladł i długo słowa nie mógł wydobyć z piersi.

— To Józwa zginął na wojnie?., rzekł po chwili.. popłakali po nim i zapomnieli! Pokiwał głową smutnie, a potem zwracając się do parobczaka, rzekł: dajcie mi co jeść, bom głodny i zmęczony. Tu poczekam na starych Gilów.

I dostawszy miskę kartofli z mlekiem, spożył je ze smakiem, powlókł się do stodoły i w sąsieku na sianie prędko zasnął.

Nad ranem dopiero zaproszona drużyna na chrzciny, opuściła gościnny domek Jodłaków. Piotr po krotkim spoczynku, wybierał się z pługiem na rolę, ale wprzód jak zwykle przyszedł pożegnać się z żoną i uściskać syna; dziecię w kołysce uśmiechnięte patrzyło nań czarnemi oczyma, matka słaba jeszcze i zmęczona podejmowaniem licznych gości, spoczywała snem twardym. Piotr ucałował z rozrzewnieniem dziecinę, a nie przerywając spoczynku Katarzynie, popatrzył na nią chwilę, zrobił znak krzyża świętego, jakby zażegnywał wszystko złe od niej, i poszedł do pracy.

Słońce już się wzbiło wysoko, kiedy zorał pierwsze skiby; jakaś nieznana troska zaczęła go niepokoić. Ręce mu omglewały, zatrzymał więc woły na miedzy i usiadł pod wierzbą w smutnej zadumie. W tej właśnie chwili posłyszał śpieszne kroki, a w biegnącym poznał Janka parobczaka od Gilów. Był to ten sam, co wczoraj spotkał się w Wulce z wędrownikiem nieznanym.

Janko przyjaciel Jodłaka, usiadł przy nim pomieszany i blady; odpocząwszy nieco, zaczął mu opowiadać jakąś wiadomość zcicha. Na pierwsze słowa Piotr zerwał się zpod wierzby, załamał ręce z rozpaczą, i wyszlochał rzewliwym płaczem, wołając tylko:

— O! dolo moja nieszczęśliwa! co ja biedak zrobię teraz!

Janko dzielił boleść swego przyjaciela, sam mu dać żadnej rady nie umiał, mówił więc, płacząc razem:

— Ale mój Piotrze... może się znajdzie ratunek... tylko żonie nie mówcie zaraz; kobiecisko jeszcze słabe, jak się dowie, to i śmierć pewna.

Wieść, którą przyniósł Jodłakowi, była straszną. Józwa Gil miany za poległego w bitwie powrócił ranami okryty i uwolniony z wojska, oświadczył rodzicom swoim, że pójdzie i odbierze Katarzynę jako mający pierwsze prawo przed Piotrem. Podsłuchał tej rozmowy Janko, i przekradłszy się przez granicę, przybiegł ostrzedz o tem Jodłaka.

Nazajutrz cała wieś była w wielkim ruchu na wieść o powrocie Józwy. Wiadomość ta, jak piorun uderzyła starych Sochów. Szymon jakby skamieniał, stał nieruchomy w pasiece swojej, żona jego rzewnym zawodziła płaczem.

Młode bociany z gniazda dębowego, z ponad chaty Jodłaków wybierały się ze staremi do odlotu w dalekie kraje. Był to dzień sobotni, słońce pięknie świeciło, cudna pogoda radowała wszystkich, ale jej nie było w duszy biednego Piotra. Chodził po radę do proboszcza i smutniejszy jeszcze wrócił. Zdobywał się na odwagę, ażeby Katarzynie donieść tę wieść straszną dla niej.

Na łączce małej ponad strugą zbierała się gromada bocianów coraz większa; młode bociany wychowane na dębie Jodłaka, zleciały zaklekotały, zgniazda i połączyły się z innemi. Niedługo zerwały się naskrzydła, i długim sznurem powędrowały w cieplejsze kraje.

Piotr patrzył na nie osłupiałym wzrokiem, powiódł za odlatującemi oczema załzawionemi i przemówił:

— I wy mnie opuszczacie, jak mnie moja dola szczęśliwa opuściła?

Powlókł się do chaty, ale zaledwie stanął na progu, gdy Katarzyna dojrzawszy jego pomieszanie i bladość, zerwała się od kołyski dziecięcia, przybiegła do niego, a chwytając za rękę:

— Co ci to Piotrze? pyta, siądź, odpocznij.

Nie będziemy opisywali rozpaczy Katarzyny, gdy mąż jej doniósł o powrocie Józwy. Nieszczęśliwa kobieta stała długo bezprzytomna, a gdy się upamiętała, padła krzyżem przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiéj.

—

W dziesięć dni późniéj, Józwa Gil otrzymawszy kartę przejścia przez granicę, przybrany w nowy sukman, odpocząwszy dobrze w chacie rodziców, choć kulejąc, żwawym dochodził krokiem do domostwa Piotra.

Nieszczęśliwi małżonkowie już go się spodziewali, bo Janek przybiegł wcześnie z wiadomością, że już idzie.

Podanie ludowe morową zarazę przedstawia nam w postaci niewiasty, co krwawą chustą powiewa i śmierć zadaje; z jaką trwogą oczekiwano tej *moreny*, z taką samą czekali nieszczęśliwi Jodłkowie przybycia Józwy.

Piotr siedział na ławie przed domem ze spuszczoną głową na piersiach, Janek stał przy nim. Katarzyna klęczała w chacie przed obrazem Matki Boskiej.

Kiedy usłyszała głos znany Józwy, zadrżała na całem ciele i padła bezprzytomna.

Jodłak zdobył się na siłę, że powitał wchodzącego, który usiadłszy obok niego na ławie, przemówił stanowczym głosem:

—Przyszedłem do was Piotrze po moją kobietę; ona musi pójść za mną, bo ja mam prawo za sobą.

Piotr słowa nie odrzekł, powstał i wszedł do domu, ale ujrzawszy bezprzytomną Katarzynę na ziemi, krzyknął na Janka, aby mu w pomoc przybył. We dwóch podnieśli omglałą i gdy ją dźwigali, stanął na progu Józwa: oczy mu się zaiskrzyły z gniewu czy z uczucia, ale głosu nie mógł dobyć, tylko pokiwał głową, patrząc, jak przenosili żonę do ubocznego alkierza. Nie poszedł dalej, ale zawrócił się i usiadł napowrót przed domem.

Piotr wyszedł niedługo blady i drżący od wzruszenia.

— Słuchajcie Józwa...odstąpcie Katarzyny, a co mam gotówki trzysta talarów, srebrem wam wypłacę, i rozwiązał worek, a błyszczący pieniądz uderzył oczy Józwy. Spojrzał dosyć łakomie na srebro, ale po chwili odwrócił głowę i odrzekł:

— Nie chcę.

Piotr powstał, przeszedł się kilka razy, a stanąwszy przed nim, zawołał zmienionym głosem:

— Niechcesz?.. no to weź i pieniądze i całe gospodarstwo, co wartuje przeszło trzy tysiące talarów, a zostaw mi Katarzynę.

Józwa spojrzał po domostwie, zabudowaniach, rzucił oczyma na pola, okalające i łąkę, myślał chwilę, a potem odrzekł:

—Nie chcę! Ja przyszedłem po moję kobietę.

— Czy ty wiesz, że ona cię nie kocha, nie lubi, żeśmy się miłowali za nim ty ją zabrałeś? Józwa! zawołał Piotr z płaczem, padając na kolana, weź wszystko, a zostaw mi Katarzynę. Pójdę z torbą, ale wyżywię ją i syna.

Gil na te słowa powstał, spojrzał ponuro na klęczącego Piotra i przemówił:

— Nie chcę ani twoich pieniędzy, ani twego gospodarstwa. Odchodzę, bo słaba i zabrać jej nie mogę, ale za tydzień niech będzie gotowa, bo przyjadę po nią i zabiorę.

To powiedziawszy, ruszył gościńcem napowrót do Wulki.

Katarzyna nazajutrz powstała na nogi, już wiedziała o wszystkiem. Zmieniła się do nie poznania. Znikł rumieniec, zagasł blask oka, ręce jej drżały, nie mogła długo utrzymać się na nogach.

Noce całe wśród bezsenności przepędzali oboje nieszczęśliwi małżonkowie przed chatą na rozmowie. Katarzyna poleca Piotrowi czuwanie nad pozostałą dzieciną, przyjęcie mamki, coby wykarmiła to sieroctwo. Piotr milcząc, słuchał i szlochał.

Zbliżył się dzień rozłąki: rano Jodłak zawiózł żonę do kościoła, wysłuchali mszy świętej razem. W godzinę po powrocie zajechał bryczką Józwa na podwórze.

Spojrzała nań Katarzyna i dreszcz ją śmiertelny przejął, oblicze jego zawsze niedorodne nabrało teraz ohydnego wyrazu.

Zabierajcie się co żywo, bo nie mam czasu, trzeba wracać doma.

Katarzyna z płaczem rzuciła się w objęcie Piotra, Józwa ponuro patrzał na te oznaki prawdziwego przywiązania biednej kobiety. Kmotra w tę chwilę wyniosła dziecinę. Z krzykiem rozpaczy poskoczyła ku chłopczynie, co z uśmiechem wyciągnęło rączęta do matki.

— Katarzyno moja! zawołał z rozpaczą Piotr, wskazując Józwę, ten, to nie człowiek, bo on nie ma Boga w sercu!

Ale w tej chwili nieszczęśliwa matka zaledwie pocałowała dziecinę i oddała kobiecie, padła martwa na ziemię: serce jej z żalu pękło!

DODATEK.

Dodatek do Nr. 35 Czytelni Niedzielnej z r. 1860.

WYKŁAD NAUKI OGRODNICZÉJ.

Ogród owocowy czyli sad.

Nauka III.

23. Miejsce, gdzie oddzielnie sadzimy drzewa i krzewy owocowe, nazywamy sadem. Drzewa owocowe są: jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, brzoskwinie i morele. Krzewy owocowe są: porzeczki, agrest, maliny, orzechy. Drzewa owocowe dzielą się na pestkowe i ziarnowe: pestkowe, jako to wiśnie, śliwki, brzoskwinie morele, są te, co wewnątrz owocu mają pestki; ziarnowe: jabłka, gruszki, które wewnątrz owocu mają ziarnka.

24. Sad jest najważniejszą rzeczą ogrodnictwa, gdyż sad przynosi największą korzyść; owoc jest najprzyjemniejszem pożywieniem, a nawet zdrowem, byleby w swoim czasie, to jest w zupełnej dojrzałości był zbieranym. Gdy dojdziemy, daj Boże, że będziemy mieli swój owoc i podostatkiem, uczyć się będziemy, ile to użytków mieć można z owoców; gdyż owoc o niemal każdy, oprócz spożycia surowego, może być przerobionym na orzeźwiający i przyjemny napój, mogący wam zastąpić wódkę, którą szatan wynalazł na zatracenie ludów. A nadewszystko, jak powtarzam, że będziemy mieli tyle owoców, iż z nich będziem mogli robić jabłeczniki, lub wino z porzeczek, to tego wam żaden strażnik nie zabierze, żaden poborca nie pozazdrości. Wartość owocu, to najlepiej znacie, bo go dzisiaj kupujecie, a o ileż lepiej mieć na swoję potrzebę i jeszcze wywieść na targ, a broń Boże wypuszczać chytremu żydowi, co ci niedojrzały obierze i drzewo zniszczy.

25. Zaczem przejdziemy do nauki sadowniczéj, trzeba nam wprzód wiedzieć, co jest drzewo, z czego się składają jego części, jak, i z czego żyją; to nam ułatwi naukę, czyniąc ją zrozumiałą.



Wykopmy drzewo całkowicie ze wszystkiem co ma; części rozłożyste będące w ziemi, nazywamy *korzeniami* a, a, a—korzeń idący wprost pod drzewem, nazywa się korzeń maciczny, inne nazywają się boczne.

Część drzewa od korzeni idąca aż do miejsca, gdzie się zaczynają gałęzie, nazywa się *pniem* b—całość gałęzi c, c, c, z pnia się rozchodzących, nazywa się *koroną*, a części korony gałęzie. Na gałęziach z pąków formują się liście lub kwiaty; kwiat zmienia się pokwitnieniu w owoc. Na gałęziach widzimy pędy jednoletnie i dwuletnie, pędy jednoletnie trafnie nazywacie latorózgi.



Pień gdy przerzniemy, część zewnętrzną a, a, nazywamy *korą*. Za korą *biel*, wewnątrz *rdzeń*; sok płynący między korą a bielem *miazgą*. O tych wszystkich nazwaniach pamiętać dobrze należy.

26, Drzewo jest widocznie rzeczą żyjącą i potrzebującą pożywienia. Pożywienie bierze z ziemi i powietrza, pokarm z ziemi ciągnie korzeniami, z powietrza liściami. Im ziemia kruchsza, pulchniejsza, uprawniejsza, tym łatwiej wilgoć wciąga, zbytnią oddaje; uprawa też ziemi jest bardzo ważną rzeczą. Liśćmi bierze wodę, mgłę, parę, które są konieczne do wyżywienia się; i dlatego drzewa,

które z liści oskubiemy, nędznie rosną, a z czasem usychają; powiedzcie to dzieciom waszym. Kora na pniu jest jak okrycie człowieka: chroni go od zimna, słoty; obedrzeć też korę, to i drzewo uschnie.

27. Kto chce mieć sad, musi mieć drzewa, kto chce mieć drzewa, musi założyć szkółkę drzewek owocowych. Szkółkę założyć można dwojakim sposobem: albo kopać dziczki w lesie, i z tych się dochowywać, albo siać ziarnka owocowe; jeden i drugi sposób dobry, obudwóch uczyć się będziemy.

Miejsce przeznaczone na szkółkę wybierz przy domu z wystawą na południe, z jesieni pokop na dwa sztychy, z chwastów oczyść starannie i grabiami urównaj, aby żadnej bryłki nie było. Porób zagonki 3 łokcie szerokie, bruzdy łokieć, płonki czyli dziczki wykop w lesie, choćby nieco grubsze jak wielki palec i zasadź z wiosny na zagonie przekopanym sztuka od sztuki na łokieć jeden. Płonkę wykopaną zaraz zasadzić potrzeba, czego gdy zaraz z jakiego powodu zrobić nie można, to płonki zakopać leżące jedna przy drugiej, a korzenie ziemią okryć, z pamięcią, aby nie pomarzły. Płonki sadzić w dołki na łokieć głębokie z uwagą, aby nie zasadzać głębiej jak przedtem rosły i z ułożeniem korzeni uważać, aby się równo naokół rozchodziły. Płonek jabłkowych i gruszkowych łatwo dobrać w lesie, śliwek zwanych lubaszek oraz wisien młodocianych jest wiele w waszych sadach, zkąd je przenoście i zasadzajcie. Ponieważ zagon jest trzy łokciowej szerokości jak mówiłem, sadzić trzeba trzema rzędami równo pod sznur, od bruzdy odstąpić na 6 cali.

28. Drugi sposób równie dobry, a nawet i lepszy, jest dochowywać się drzewek z nasienia. Wprawdzie dłużej czekać potrzeba, ale gatunki owocu mogą być lepsze i drzewa dorodniejsze, a choć to będzie później, to się zawsze doczekać można; wreszcie i po nas będą ludzie. Nasienie wybierać potrzeba z owoców czy pestkowych, czy ziarnowych zupełnie dojrzałych, oddzielić od owocu bez skaleczenia nożem lub zgniecenia palcem, i ziarna lub pestki składać w garnczek, przesypywać piaskiem wilgotnym i trzymać tak do września. W początku tego miesiąca na grzędzie przekopanej na dwa sztychy oczyszczonej i ugrabionej trzy łokcie szerokiej, porobić tylcem grabi rowki na 6 cali jeden od drugiego równoległe i w te sadzić ziarnka lub pestki. Roweczki przykryć pulchną ziemią, na zimę okryć liśćmi, a lepiej kolcami choiny, to będzie ochroną i od mrozu i od myszy. Z wiosną okrycie zdjąć, z chwastów wypelać, w suszę podlewać.

29. Ponieważ podlewanie jest niemałą rzeczą tak do tego, jak później i do wielu innych rzeczy, a na dobrem podlaniu wiele zależy, przeto nam się i tego nauczyć potrzeba.

Do podlewania najlepsza jest woda miękka ze stawu, sadzawki; ale jeżeli tej nie ma, to użyć studziennej wody. Lecz przed użyciem do podlania, trzeba żeby się wygrzała na słońcu i była na otwartem powietrzu przynajmniej przez dobę. Samo zaś podlewanie powinno być nie gwałtowne, ale powolne. Najlepsze są do tego umyślne konewki z sitkiem blaszanem. Do konewki zwyczajnej zastosować można podobne sitko, które 2 złp. najwięcej kosztuje i u każdego blacharza dostać można.

W polewaniu i na czas uważać należy, to jest żeby w upałowe godziny nie podlewać, gdyżby żadnego skutku nie było, jeszczeby się bardziej ziemia ścięła; w czas ciepły najlepiej polewać wieczorem, w czas chłodny, zrana.

30. Płonki przesadzone, jak wyżej mówiłem, również w suszę podlewać; obierać z wyrostów dolnych przy korzeniu lub z gałązek, gdyby przy dole rosły, z chwastu opleć kilka razy i tak zostawić na zimę do drugiego roku bez żadnych okryć lub przywięzywań— grzędę zaś, na której rozsiejecie nasiona, pleć trzeba starannie i uważnie, aby zamiast chwastu, drzewek nie wyrywać, co uważając, rozpoznać można, gdyż drzewka odrazu wypuszczają listki odmienne jasno-zielone. Przy starannem utrzymaniu, w pierwszym roku na pół łokcia wyrosną. Na zimę kolcami sosnowemi okryć grzędę na trzy cale i na dru-

gi rok nieco podkrzesywać, aby rosły w górę, z chwastów opleć, czasem podlać. W trzecim roku przesadzić do szkółki w ten sposób, jak o płonkach czyli dziczkach mówiłem. I w ten sposób będziecie mieli szkółkę roboczą drzew owocowych.

31. Gdybyśmy tak jak z lasu wykopali, lub z nasienia dochowywali się owocu, mielibyśmy tylko owoc kwaśny, zwyczajny.

W ogrodach żądamy i powinniśmy mieć owoce w dobrych gatunkach i pokupne. Chcąc dojść do takich, trzeba na płonkach i siewkach robić owoce takie, jakie mieć chcemy, a to się otrzymuje za pomocą sztuki ogrodniczej, którą wam zaraz wytłómaczę.

Na pieńku drzewa dzikiego można osadzać drzewa w dobrych gatunkach byleby jabłoń na jabłoni, gruszki na gruszkach i t. p. Urzynając pieniek, a utrzymując go w stanie życia i nie dając sokom się rozchodzić, zmusimy miazgę, aby się połączyła z miazgą gałązki, jaką w pieniek zaszczepimy.

Sposobów robienia tego uczyć się będziemy na przyszłej nauce; dzisiaj zakończymy o drzewach, które przysposobić możemy wprost na miejscu, gdzie chcemy, aby raz na zawsze pozostały.

32. Gdy mamy w ogrodzie, co się u was nieomal wszędzie znajduje, drzewa już dorosłe a dzikie, byleby niezbyt były stare, robić je będzie można; ale czasem umyślnie dla przyśpieszenia sprowadzić można drzewa choćby 10cio i 15sto letnie wysokie z koronami, tylko od razu w miejsce, gdzie stać mają.

Pod podobne drzewo z jesieni wykopać na miejscu dół na łokieć i pół głęboki, i łokieć jeden i pół naokół ziemię odłożyć na boki, aby przez zimę skruszała.

Z wiosną drzewo zasadzić nie głębiej jak było poprzednio i przywiązać do pala, w susze podlać, a w następnym roku, a czasem i w tym samym już je robić będzie można. Dużo się tu zyskuje na czasie, podobne drzewa w trzecim roku od zrobienia już obficie rodzić mogą. O szczepieniu i innych sposobach uszlachetniania drzew, gdyż tak się nazywa ta robota, mówić będziemy w następnej nauce.

Sposób przeciwko gniciu snopów zboża.

Ogłoszony publicznie, a podany przez Towarzystwo Rolnicze sposób zabezpieczający zebrane snopy zboża od gnicia, podajemy tu z powodu jego użyteczności.

Według zwyczaju powszechnie przyjętego, zboże zielonkowato zżęte lub koszone, trawą lub chwastami przerosłe, albo w czasie wilgotnym zbierane, zostawia się na garściach lub na pokosach, ażeby działaniem słońca tyle przeschło, iżby mogło być w snopy wiązane. Postępowanie to jest pośpieszne, w czasie pięknych dni letnich dogodne; lecz w przeciwnym razie garście i pokosy potrzeba przewracać, a przy długo trwających deszczach zboże jest narażone na zrośnięcie, szczególniej w spodniej stronie, ziemi dotykającej. Nadto, pomimo znacznego powiększenia robocizny, zboże trudno wysycha i przytem wiele się go psuje. Ścierń wysoka w części chroni od uszkodzenia, jednak zapobiedz mu nie może.

W tym sposobie prowadzenia żniwa, łatwem jest zepsucie zboża, jeżeli niepogody nieco dłużej trwają. Garście i pokosy tworzą warstwę dosyć grubą i niełatwo wysychają; źdźbła do siebie zbliżone i przemokłe, zatrzymują wodę, nie dozwalając przystępu powietrzu, co utrudnia parowanie. Dlatego przy deszczach długotrwających, albo często przerywanych, zboże łatwo wyrasta, jeżeli ciepłe powietrze ułatwia kiełkowanie.

Unikając tych wypadków w razie niepogody, nie należy zboża na garście składać, lecz jakikolwiek będzie stan powietrza i zboża, czy jest dojrzałe lub zielone, czyste lub przerosłe, potrzeba je zaraz po ścięciu wiązać w małe snopki, powrósłami pojedyńczemi bardzo lekko ściśnione natychmiast ustawiać w kopki z dziewięciu snopków złożone, w ten sposób: jeden snopek stawia się na sztorc w środku, do niego cztery pochylone dotykają się kłosami, mając knowia oddalone; nakoniec w przedziale między niemi stawia się jeszcze cztery snopki, mocniej ku środkowym pochylone. W tem ułożeniu kopka znacznie rozszerzona, silnie opiera się wiatrom; deszcz łatwo po powierzchni spływa, powietrze dowolnie krąży między źdźbłami i słomę wysusza. Dla bezpieczeństwa można kopkę pokryć czapką ze snopka zrobioną, jakiej

zwykle do pokrywania kóp zbożowych używają.

Snopy zboża tym sposobem ustawione mogą 2 do 3 tygodni stać w polu, bez żadnego uszkodzenia; w kilka godzin po deszczu nie ma na nich ani śladu wody, i jeżeli czas sprzyja, we dwa albo trzy dni po zżęciu można zboże składać w sterty. Słoma jest biała, chwasty i trawy zboże przerastające w kopkach zupełnie wysychają, zatrzymują zieloność, jaką rzadko kiedy posiada siano najpogodniej zebrane.

Od Redakcyi

Pan Alexander Kanigowski z Borystenowa nad Orszą, z Gub. Mohilewskiéj, przesłał przez pośrednictwo Redakcyi rs. 76 dla PP. Marjawitek w Częstochowie na budowę kościoła, z dołączeniem listy ofiarodawców, która jest następująca:

	Rsr.	Kop.
Marynia Kanigowska	1	50
Alexander Kanigowski	1	50
Juljan Konstantynowicz	1	—
Na intencyę pewnéj osoby	1	—
Jan Mackiewicz	—	75
Michał Chodasewicz	1	—
Jan Arciszewski	—	50
Łucya Daronia	—	25
Michał Zaleski	—	50
Leontyna Szuszkiewicz	1	—
Michał Obniski	3	—
Wiktor i Klara Kozłowscy	1	—
Leopold Wincza	—	50
Malinowski	1	—
Rejnhold	1	—
Pietkiewicz	1	—
Wincenty Kulwanowski	1	—
Ignacy Borysewicz	10	—
Michał Pienczewski	1	—
Jan Illuszonek	1	—
Juljan Maciusza	1	—
Jakób i Paulina Trojan	1	—
Leon Janczewski	1	—
Tomasz Załud	—	50
Grzegorz i Justyna Czerniawscy	1	—
Hilary i Faustyna Kalinowscy	1	—
G. Pawłowicz	1	—
Sacerdos Basilius Karpisci	1	—
Anna Chmorowicz	1	30
Florjan Białobrzeski	—	50
Antoni Dzierwojed	1	—
Wiktorya, Walerya i Julja Rymszy	1	—
Michał Szymanowski	—	50
Józef Skwarcewicz	—	50
Grzegórz Żukowski	—	50
Helena Kotkowska	—	25
Leon Bielawski	—	25
Mikołaj Leszczyński	—	50
Paweł i Julja Ciechańscy	1	—
Mikołaj Mierzlakow	—	50
Alexander Paszkiewicz	1	—
Franciszek Szymanowski	—	50
Podoficer Ignacy Stepanow	—	50
Alexander i Klementyna Lenniki	3	—
Rafał i Teodozya Onichimowscy	1	—
F. W. Okuszko	1	—
Ignacy Witkowski	—	50
Dorota	—	50
Jadwiga Dobryńska	1	—
Ignacy Białkowski	2	—
Alexander Koniuczenko	—	75
Izidor	—	50
Zofja Monczyńska	—	50
Piotr Liśniewski	1	—
Leon Sosnowski	1	—
Felix Pudzinowicz	1	—
W Stanisławowie:		
	5	—
	3	—
	—	25
W. Lembicz	1	—
Katarzyna Kozakiewiczówna	1	—
Onufry Wus	—	25
Wiktor Czerniawski	—	50
Jakób i Julja Czerniawscy	1	—
Anna Czerniawska	—	30
Marynia Czerniawska	1	—
Katarzyna Wiktorya i Helena C.	—	75
Łucya Daronia	1	—
Awierko Kuksianok	—	40
Razem Rsr. 76.		

Oprócz summy powyższej dołączono na litanję rubla sr. 1, i takąż kwotę na mszę Świętą przed obrazem cudownym Matki Boga na Jasnej Górze na intencyę Alexandra i Maryni; która to ogólna *summa rs. 78* na cele wskazane przesłaną została na ręce przewielebnej Pauliny Jellec wraz z oryginalną listą ofiarodawców.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d 9 (21 sierpnia) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*